

Jeszcze nie tak dawno należał do dramatopisarzy, którzy uchodzili za sól ziemi amerykańskiej. Dzisiaj, jak słycać, we własnej ojczyźnie może liczyć jedynie na bardzo specyficzną publiczność teatralną. W każdym razie nie znajduje, jak niegdyś, uznania większości. A przecież od pierwszego, wielkiego sukcesu — „Szklanej mienażki” — nie minęło nawet trzydzieści lat. Jeszcze pisze i jest w wieku, który określa się wiekiem pełni sił twórczych.

Mimo wielkiego rozgłosu i wysokiej pozycji w dramaturgii światowej, Tennessee Williams nie należy do autorów często wystawianych w Polsce. Nawet nie wszystkie jego sztuki doczekały się przekładu na nasz język, a „Kotka na rozpalonym blaszanym dachu”, sztuka, która liczy już sobie osiemnaście lat, dopiero w ubiegłym roku doczekała się swojej polskiej prapremiery w Teatrze Powszechnym w Łodzi, w reżyserii Jerzego Hoffmana. Tymczasem jest to sztuka, która wraz z „Tramwajem zwanym pożądaniem” w bardzo dużym stopniu przyczyniła się do ugruntowania wysokiej pozycji Williamsa. Pozostaje sprawa czy polska publiczność rzeczywiście straciła na tym wiele, czy też nie?

Szcześcińska inscenizacja w Teatrze Współczesnym, w reżyserii Aleksandra Strokowskiego, dowodzi, wydaje się, że o większej stracie nie ma mowy. Być może, a nawet na pewno, jeżeli sądzić po głosach znawców Ameryki i amerykańskiego teatru, sztuki Williamsa, a więc i „Kotka” ukazują kawał prawdy o amerykańskim społeczeństwie, obnażają w bardzo ostrym świetle zepsucie i krzywdę ludzką, są pełnym ekspresji oskarżeniem wynaturzeń tego społeczeństwa pod wpływem cywilizacji. Wszystko to prawda, ale Williams nie ponad to oskarżenie od siebie nie wnosi. Co gorsza posługuje się techniką i środkami, które raz po raz szokują widzów, budzą sprzeciw, a co najmniej niesmak. Postacie Williamsa, to w dużej mierze ludzie nie przystosowani do otoczenia, do swojego środowiska, ale

jednocześnie nie przystosowani przede wszystkim z racji różnego rodzaju obciążeń o charakterze psychopatycznym. Obsesje seksualne i kompleksy na ich ile spełniają tu rolę swego rodzaju klucza warunkującego postawy i zachowania williamsowskich bohaterów. To właśnie, podobnie jak w innych sztukach Williamsa, możemy oglądać w „Kot-

Obsesje pana Williamsa

ce na rozpalonym blaszanym dachu”.

Możemy oglądać już od pierwszej sceny, od historycznych wynurzeń Margaret czyli kotki, którą interpretuje Irena Grzonka. Jej Margaret, to uosobienie zmysłów i popędu seksualnego, pozbawionego przecież poczucia całkowitego dopełnienia, bo okazuje się, że nie może mieć ze swoim mężem Brickiem dzieci. Stąd dla jednego i drugiego kompleks niższości („Jesteśmy bezdzietni, a tym samym do niczego”), maskowany pogard dla macierzyństwa. Sam Brick (Wiesław Zwoleński), to kandydat do lecznicy dla alkoholiców i narkomanów. Był kiedyś popularnym sportowcem, potem przestał pracować i oddał się jednemu zajęciu, to znaczy alkoholizowaniu się. O ile Brick jest człowiekiem wykołejonym, kaleką psychicznym, to jego brat Gooper (Bohdan Gierszanin) reprezentuje typ tak zwanego porządnego, ustabilizowanego człowieka, nie ulegającego żadnym słabościom i skrzywieniom, które wnosząby w jego życie niepotrzebne komplikacje. Gooper i jego żona Mae mają pięcioro dzieci i znają wartość pieniądza. Rzecz w tym, że Dziadek

(Bohdan A. Janiszewski) jest mimo wszystko bardziej przywiązany do pierwszego ze swoich synów, chociaż ten zawiódł pokładane w nim nadzieje. Dziadek ma wielki majątek, na który składa się między innymi 28 tys. akrów „najżyźniejszej ziemi”, a poza tym odznacza się wybujałymi skłonnościami erotycznymi. Ciągłe zachciewa mu się kobiet, chciałby je wszystkie mieć i zabawiać się z nimi w łóżku od wieczora do rana. Te obsesje pomagają Dziadkowi przy-

a Dziadek odpowiada mu: — Musisz żyć wśród zakłamania, nie innego nam nie pozostaje. W gruncie rzeczy zakłamaną — w swojej interesowności i egoizmie — parą jest stadło Gooper i Mae, przy czym „porządnym” i uczciwym Gooper natychmiast tworzy plany jak postąpić z majątkiem, gdy tylko dowiaduje się o bliskiej śmierci ojca.

Na temat śmierci mówi się w „Kotce” sporo. Mówią o tym zwłaszcza Dziadek i Brick. Z tym, że są to przerażające banały. Na przykład takie, że życie nie można kupić, że człowiek jest zwierzędziem śmiertelnym itp.

Ostatecznie sztuka kończy się na sytuacji stworzonej przy pomocy klamstwa. Margaret zapewnia wszystkich, że spodziewa się dziecka, więc Dziadek zapisuje Brickowi swój majątek. Właściwie dla upragnionego wnuka od niego. Wszystko inne pozostaje bez zmian. Wychodzimy z teatru pod wrażeniem, że otarliśmy się o sprawę etycznie wątpliwą, że po prostu podglądaliśmy gorsze, ciemniejsze strony psychiki ludzkiej. Nie jest to chyba najprzejrzystsza rola, jaką teatr może zaproponować widzowi. W istocie rzeczy Tennessee Williams poza swoimi obsesjami i poza — co mu trzeba przyznać — doskonałą konstrukcją dramatyczną nie proponuje niczego więcej. Gdyby jeszcze chociaż atmosfera sztuki Williamsa, to jego grzebienie się w zakamarkach psychiki ludzkiej znalazło bardziej interesujące odzwierciedlenie w interpretacjach aktorskich. Niestety, nie znalazło. Poza Ireną Grzonką i Krystyną Feldman. Zawód zwłaszcza sprawił Wiesław Zwoleński, od którego w tej sztuce zależy bardzo dużo. W postaci Bricka tkwi wiele elementów, które przydają jednocześnie głębi na planie ogólnym, tymczasem w Teatrze Współczesnym mamy do czynienia z Brickiem raczej papierowym, nieprzejrzystym w swoich motywacjach psychicznych, wypowiadającym po prostu sztucznie brzmiące kwestie.

Koniec się wkrótce sezon, „Kotka na rozpalonym blaszanym dachu” też prawdopodobnie zejdzie z afisza, jest więc sprzyjająca okoliczność, aby teatrowi szcześcińskiemu nie wypominać zbyt długo tego przedstawienia.